

## Drogi Ryszardzie,

Dziękuję Ci za ostatni list i kolejną porcję wiadomości z „kulturalnego” Elbląga. Miasta nie całkiem mi obojętnego, bowiem bądź co bądź spędziłem w nim nie tak dawno okrągłe dwa lata. Pozwól więc, że w mej odpowiedzi skomentuję pokrótce jedną z kilku wiadomości podanych mi przez Ciebie, tę o odwołaniu Bartona.

Piszesz, że teatr go „wypluł”, i tym jędrnym określeniem trafnie sumujesz niejako całą jego dyrekcję. Otóż to, teatr nieuchronnie, wcześniej czy później (na ogół wcześniej), wypłuwa wszystkich nieudaczników, amatorów, bufonów, pseudoartystów i tępowych a zarozumiałych czynowników, którzy usiłują się w nim szarogesić. A Barton był właśnie jednym z nich, i to bardzo typowym. Miałem przyjemność - w miarę upływu czasu coraz bardziej wątpliwą - współpracy z nim niemal od chwili, gdy w wyniku specjalnie „ustawionego” konkursu, w którym wziął udział tylko on jeden, został dyrektorem elbląskiego teatru. Od razu też wiedziałem, tak zresztą jak i wszyscy w tym teatrze, że jest to dyletant wstawiony lewą ręką przez awuesowskiego wojewodę Marię Piór jako zapchajdziura w kryzysowej dla tej placówki sytuacji. Zamiast rozejrzeć się za kimś poważnym, za prawdziwym fachowcem, prościej było oddelegować do teatru kogoś miernego ale swojego. By na jakiś czas problem był z głowy. Ale i dyletanci bywają różni. Podjąłem się więc u jego boku kierownictwa artystycznego teatru z nadzieją, że przypadkowy nominat, świadom swej nieznajomości materii, zechce przy mnie trochę poduczyć się teatru i ograniczy się - zgodnie ze swym wątplym statusem moralnym - wyłącznie do czynności administracyjnych. Ostatecznie tandemy takie niekiedy się sprawdzały, a z początkowych „cywilów” wyrastali tu i ówdzie prawdziwi dyrektorzy, którzy później nawet w przelotnych okresach artystycznego bezkrólewia potrafili utrzymać mechanizm sceniczny w pełnej sprawności.

Przybywając do Elbląga miałem za sobą blisko trzydzieści lat pracy w teatrze, w tym szesnaście lat dyrektorowania w czterech kolejno miastach - od Grudziądza po Gdynię. Byłem więc już wtedy jednym z bardziej doświadczonych dyrektorów w teatrze polskim, dyrektorem kadrowym wedle terminologii Ministerstwa Kultury. Drogę awansu przebywałem prawnie, przechodząc z miasta do miasta wyłącznie dzięki wynikom swej pracy, nie zaś przynależności do jakiegokolwiek partii czy ugrupowania politycznego.

Jeśli nawet potrząsam tu starymi medalami, to tylko po to, by dowieść, że Barton naprawdę miał szansę czegoś się ode mnie i przy mnie nauczyć. Nie miał przecież pojęcia - bo i skąd? - o funkcjonowaniu delikatnych na ogół mechanizmów teatralnych, obyczajach i tradycjach, sposobach porozumiewania się z zespołem, organizacji premier i uroczystości środowiskowych, o niepisanej a obowiązującej w teatrze hierarchii. Poznanie tajników tej magicznej instytucji (a i to czy dogłębne?), zdobycie umiejętności poruszania się po niej w różnych sytuacjach zajęło mi, nie licząc pięciu lat studiów reżyserskich, kolejne pięć lat mej pierwszej dyrekcji. Z rozmów z kolegami wiem, że i oni nie odbywali swej edukacji szybciej niż ja.

Nie mówię tu już o sprawach ściśle przypisanych dyrektorowi artystycznemu, które wymagają jeszcze większej wiedzy (na przykład dobrej znajomości repertuaru polskiego i światowego), w ogóle niedostępnej komuś bez specjalistycznego przygotowania, sprawach takich jak wytyczanie linii artystycznej teatru, odpowiednie kształtowanie zespołu artystycznego, dbałość o rozwój każdego aktora poprzez powierzanie mu odpowiednich ról, angażowanie reżyserów i scenografów, wreszcie kontakt z widownią i środowiskiem wokół teatru. Cóż Barton, pracujący dotąd jako referent w wydziale kultury, mógł wiedzieć na te tematy? Ale

ku mojemu zaskoczeniu on szybko uwierzył w swe namaszczenie i swą wiedzę. Zarozumiałość? Może należałoby tu użyć jeszcze mocniejszego słowa.

No i niemał od razu zapragnął współzadziąć na scenie, korzystając z formalnego pretekstu, iż nie otrzymałem jeszcze nominacji na dyrektora artystycznego, byłem zaś (miało to trwać tylko czasowo) jedynie kierownikiem artystycznym elbląskiego teatru (mimo iż przepisy branzowe nie znaty drugiego z tych stanowisk, wymagały natomiast obsadzenia pierwszego z nich). Stan takiej prowizorki był zresztą na rękę tak Bartonowi jak i władzom wojewódzkim, które wołały zapewne w teatrze jednoosobowe kierownictwo w postaci „swojaka”.

Parokrotnie usiłowałem porozmawiać z nim poważnie o teatrze, w tym także o podziale naszych kompetencji, zarysować jakiś plan rozwoju artystycznego, ale zawsze wymykał się jak piskorz, nieraz w sposób zwyczajnie prostacki. W ciągu całych dwóch lat nie udało mi się nakłonić go do ani jednej sensownej rozmowy - zawsze kluczył, chwytając natychmiast za telefon, wybiegał do toalety... W coraz większym natomiast stopniu ingerował w sprawy artystyczne, tak iż w drugim sezonie poczułem się już całkiem niepotrzebny. To on w istocie ustalał repertuar, robił obsady, angażował aktorów i reżyserów. I tak polubił być generałem, że z nieukrywaną radością brylował na scenie, wygłaszając sążniste mowy przed przedstawieniami, produkując się z miną gwiazdora na fatalnie organizowanych uroczystościach z okazji Dnia Teatru i na licznych bankietach, wreszcie zaś zabrał się także do pisania tekstów scenicznych, reżyserii i aktorstwa, uszczęśliwiając i bawiąc do rozpuku widzów jako autor, konferansjer i tancerz w kabarecie, który stworzył do spółki z drugim, takim jak i on sam przyuczonym artystą, chałturzącym w teatrze nauczycielem muzyki. (Owszem, kabaret o tematyce lokalnej był moim pomysłem, ale wyobrażałem go sobie całkiem inaczej.) Sprawa stała się głośna nie tylko w Elblągu i przeciwko takim wyczynom zaprotestowało wreszcie ogólnopolskie stowarzyszenie dyrektorów teatrów, broniące rangi dyrektorskiego stanowiska. Barton jednak bynajmniej się tym nie przejął i działał „artystycznie” coraz śmielej.

Zbył moją inicjatywę podjęcia przez aktorów w szkołach miasta i regionu szeroko zakrojonej edukacji teatralnej opartej o dobre i sprawdzone wzorce, zbył pomysł organizacji pod egidą Elbląga w Polsce północnej festiwalu teatralnego państw euroregionu bałtyckiego (wymyśliłem dla tego formułę i sposób finansowania), odrzucał lub krzywił się na kolejne propozycje repertuarowe. „Zróbcie tylko coś dobrego” - powtarzał protekcjonalnie, niezmiennie rozumiejąc pod tym „coś” farsę lub bajkę.

Ustroił za to widownię teatru tandetnymi reklamami, wśród których zespołowi przyszło zagrać m.in. premierę „Transatlantyku”, zamurował okna na i tak dusznej sali kameralnej, by powstały mur można było także poświęcić darczyńcom, tablicę ogłoszeń przeniósł w niewidoczne miejsce na półpiętrze oraz dokonywał innych tego rodzaju ulepszeń. Ponadto narzucił organizacji widowni swój gust przy prowadzeniu impresariatu, co zaowocowało sprawozdaniem przedstawień przeważnie żenującej jakości. I tutaj przecież działał na miarę własnej orientacji w życiu teatru ogólnopolskiego.

Pamiętam też, jak na jeden ze spektakli „Pamiętnika z Powstania Warszawskiego”, tytułu, który z trudem udało mi się jeszcze przerforsować, przyjechała do Elbląga duża grupa czołowych krytyków teatralnych i przedstawiciele Ministerstwa Kultury, rozglądających się po kraju za wydarzeniami artystycznymi. Dyrektor Barton, mimo iż był obecny wówczas w budynku, nawet nie pofatygował się, by przywitać gości. Ci oczywiście poczuli się obrażeni. Na szczęście wszystkich ich znałem i po części załagodziłem sytuację. Pogratulowali więc mnie i zespołowi efektu artystycznego, oświadczyli jednak, że ze względu na nietypowe manierey dyrektora nie będą spektaklu dalej promować. Skończyło się jedynie na pochlebnej wzmiance i zdjęciu w miesięczniku „Teatr”.

Wewnątrz zespołu Barton stosował taktykę kija i marchewki. Skłócał ludzi, napuszczał jednych na drugich, chętnie słuchał donosów, nie potrafił jednak (bał się?) karać (nawet w ewidentnych wypadkach alkoholowych) ani nagradzać, pozostawiając bez echa moje wnioski, także moje działania, w założeniu wychowawcze bądź dyscyplinujące zespół aktorski, nie

przynosiły rezultatów. Z wprawą szulera rozgrywał natomiast partię z lokalnym związkiem zawodowym, w którym wszakże prym wiedli nie aktorzy, lecz elektryk i kierowca. Toteż elektryk zarabiał per saldo więcej niż główna księgowca, zajmowałoczesne miejsce w radzie artystycznej i autorytatywnie wypowiadał się o kształcie teatru. Podobnie jak i parę innych indywiduów - wspomniany tu już kierownik muzyczny, niechętnie skądinąd wykonujący swe zasadnicze obowiązki, czy - kuriozalnie - pewna paniusia z miejscowego wydziału kultury, zapraszana przez Bartona po to, by mnie, staro wygę, pouczyć, jak często i w jakiej formie mam kontaktować się z zespołem i w ogóle by udzielać mi rad, w jaki sposób powinienem myśleć o teatrze.

Wszystko to, nie mówiąc już małostkowo o szeregu innych incydentów, doprowadziło, jak wiesz, Ryszardzie, do mego rozstania się z Elblągiem. „Za obustronnym porozumieniem” - jak się to prawnie określa. Mogłem wprawdzie zwrócić się do władz i wyrazić wobec nich swą opinię o tym, co dzieje się w teatrze, czułem nawet, że Barton tego się obawia. Ale nie miałem ochoty się boksować. Przybyłem do Elbląga, żeby robić tu teatr, a nie uczestniczyć w rozróbach. Zresztą z kim tu było rozmawiać? Z władzami wojewódzkimi, które sprawiały wrażenie, iż nie zależy im na teatrze elbląskim, czy z miejskimi? Przecież Barton przechwalał się, że pija wódkę z wiceprezydentem nadzorującym kulturę, ponoć swym kolegą ze studiów; przecież przy wszystkich możliwych okazjach publicznie asystował miejscowym posłom i senatorom, tym razem z innej już niż awuesowska opcji.

Rozstałem się więc z teatrem elbląskim i chłodnym okiem obserwowałem go odtąd z od dali, czytając niekiedy teksty, które poświęcałem mu w „Tyglu”. Wiem, że po moim odejściu dyrektorem (wreszcie!) artystycznym został mianowany człowiek, noszący - by posłużyć się cytatem z „Kordiana” - „zgodne z naturą nazwisko” - zgodne w odniesieniu do funkcji, jakiej się podjął. Bo poza wyreżyserowaniem dwóch czy trzech bajek przygotowania reżyserskiego (a takie właśnie jest najbardziej potrzebne na stanowisku szefa do spraw artystycznych) nie miał żadnego. Dla Bartona part

ner w sam raz. Ale i on uciekł, jak słyszałem, z ner w sam raz. Ale i on uciekł, jak słyszałem, z Elbląga w pół sezonu. Wiedział, że nie podoła? Nie mógł się dogadać z coraz bardziej zaborczym szefem?

Później Barton znalazł sobie nowego, jeszcze lepszego kandydata na dyrektora artystycznego. Jednego z miejscowych aktorów, znanego w mieście z licznych chałtur i czytania reklam, człowieka o nieciekawej aparycji moralnej. (Pamiętam, jak kiedyś najpierw publicznie nawymyślał organizatorce widowni, potem zaś, przestraszony, iż naraził się przez to dyrektorowi, równie publicznie na klęczkach ją przeproszał. Co najmniej niesmaczne - jak powiedziałyby Witkacy.) W każdym teatrze znajdzie się taki niewyżyty aktor, który latami czyha na dyrektorski stołek, nie mając żadnych kwalifikacji, by na nim zasiąść. I nawet przeważnie - w okresie jakiegoś przelotnego kryzysu - zdobywa go, co z reguły kończy się fatalnie i dla teatru, i dla niego. W Elblągu też był taki - wyrzutek z pierwszego roku wydziału lalkarskiego białostockiej szkoły teatralnej, którego kariera zawodowa zamykała się między Olsztynem a Elblągiem. Sądzę jednak, że dla Bartona była to wymarzona kandydatura. Tak zresztą sam opowiadał w jakimś wywiadzie prasowym, który przypadkiem wpadł mi w ręce. Mając przy sobie - delikatnie mówiąc - spolegliwego szefa artystycznego mógłby bez żenady dokonywać teraz cudów na scenie.

Jak w znanej bajce Krasickiego: „Wiódł ślepy kulawego, dobrze im się działo.”

Ale tym razem władze były na tyle trzeźwe, że niespodziewanie postawiły veto. Barton, szczerwana sztuka, i na tym potrafił skorzystać: w sytuacji swoistego artystycznego interregnum rzeczywiście porządził sobie do woli przez dłuższy czas. O ile wiem, w okresie tym, jak zresztą i przez cały czas jego samodzielnych artystycznych rządów, produkowali się w teatrze w charakterze reżyserów głównie przyuczeni aktorzy, bez rzeczywistych kwalifikacji reżyserskich.

Mogę sobie z grubsza wyobrazić, jak w takiej sytuacji wyglądał wówczas teatr elbląski choćby na podstawie nielicznych wzmianek w „Gońcu Teatralnym”. Także napomknienia o nim w Twoich listach pełne były coraz wyraź-

niejszego niesmaku. Wiem, że wreszcie - po tylu latach pracy recenzenckiej - przestałeś pisywać recenzje z przedstawień w elbląskim teatrze, a latach pracy recenzenckiej - przestałeś pisywać recenzje z przedstawień w elbląskim teatrze, a recenzje z przedstawień w elbląskim teatrze, a nawet w ogóle bywać w tej zakurzonej instytucji.

I kiedy wydawało mi się, że teatr ten, nikomu już chyba niepotrzebny, umrze niedługo własną sklerotyczną śmiercią, mozolnie dogrywając żalostną „Narkomankę”, dowiaduję się o odwołaniu Bartona. Przyszedł z niebytu i odszedł w niebyt, przynajmniej teatralny. Nareszcie ktoś widocznie uznał, że remont garderób i wstawienie do magazynu nowych foteli to zbyt skromny powód do chwały i że nie rozwiązuje to problemów teatru. W miejsce Bartona zjawił się podobno ktoś nowy. Nic nie mówi mi jego nazwisko, więc wstrzymam się ze snuciem przypuszczeń, czy uda mu się czy też nie. Ty tam na miejscu lepiej wyczujesz, czy jest to kolejna zapchajdziura, czy też ktoś, kto potrafi i prawdziwie chce. Bo tak trudnym teatrem powinien kierować teraz albo doświadczony fachowiec, albo - jeśli już młody - to przynajmniej taki, który swój świeżo nabyty dyplom reżyserski

wesprze ogromną chęcią dokonania czegoś. Jektóry swój świeżo nabyty dyplom reżyserski wesprze ogromną chęcią dokonania czegoś. Jeśli jednak miałby to być następny amator jedynie do jak najdłuższego posiedzenia na dyrektorskim stołku... No, nie kraczymy z góry, może tym razem jest inaczej.

A jak Ty sądzisz - czy ratunek jest jeszcze w ogóle możliwy? I pod jakimi warunkami? Bądź uprzejmy napisać mi o tym, jeśli uważasz, że warto. Wprawdzie żyję teraz czym innym, wybierając się na kolejną odległą reżyserię, tym razem na zachód, ale zawsze z jakimś zainteresowaniem czytam o miejscach, w których kiedyś przebywałem. Bo wszędzie zostawia się kawałek serca i gromadzi trochę wspomnień. Może również trochę uraz i sentymentów do ludzi. Tym więc, których z Elbląga jasno pamiętam, życzę, by pod wodzą nowego szefa chwycili mocno wiatr w żagle, Tobie zaś, drogi Ryszardzie, byś znów zaczął z przyjemnością bywać w elbląskim teatrze i miał powody pisać o nim w tonie nadziei.

Serdecznie Cię pozdrawiam  
- Antoni Baniukiewicz

Warszawa, 21 grudnia 2003 r.